

Pismo

MAGAZYN OPINII

GRUDZIEŃ 2018 | NR 12



Pismo

MAGAZYN OPINII

GRUDZIEŃ 2018 | NR 12

REPORTAŻ

Szpik w prezencie

PORTRET

Poszukiwaczka zaginionych imion

Theresy May bitwa o Anglię

Z PISMEM U...

...największej celebrytki literackiego świata

LITERATURA

Joanna Bator Joanna Lech

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

1 2>



9 772544 502807

MAGAZYN OPINII Pismo.

GRUDZIEŃ 2018

OPOWIADANIE

Tropem kanibalki spod Wałbrzycha | 2

JOANNA BATOR

Laurence Oliver żyje i mieszka w Polsce | 94

JAROSŁAW DUDYCZ

POEZJA

Słony brokat | 7

JOANNA LECH

Pieśni o wszystkim | 27

DAREK FOKS

Łąka | 60

MAGDALENA BIELSKA

ANECDOTA

Ocean do połowy pusty | 71

PATRYCJA PUSTKOWIAK

OBRAZ

FOTOREPORTAŻ **Żal tropików** | 36

MAGDALENA MISZCZAK

KOMIKS **O przekładzie** | 72

TOMASZ PINDEL / BERENIKA KOŁOMYCKA

SZKIC **Kontrola** | 24

JAN MAZUR

ŻARTY RYSUNKOWE **życie–na–kreskę**

MARTA ZABŁOCKA

OKŁADKA **Radosna nowina**

JOANNA KARPOWICZ / KAROL TYCZYŃSKI

PORTRET

28 | **Poznaj samego siebie**

KATARZYNA BONI o Lei Balint, poszukiwaczce zagubionych imion

52 | **Niemożliwy wybór Theresy May**

SAM KNIGHT

Z PISMEM U...

8 | **... Zadie Smith**

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z największą celebrytką literatury

REPORTAŻ

18 | **Zgodni**

AGATA ROMANIUK o tych, którzy oddali innym część siebie

PODRÓŻ

80 | **Idź do bani**

RENATA LIS o rytuałach dla słowiańskiej duszy

ESEJ ŚWIAT

44 | **Balon pęka**

MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI o nowej twarzy Ameryki

ESEJ KULTURA

88 | **Zanim przyszły selfie, selfiki, selfiaczki**

WOJCIECH NOWICKI

HISTORIA OSOBISTA

68 | **Zimową nocą na Manhattanie**

HARPER LEE

FELIETON

16 | FENOMENY **Krótkie spięcia**

NATALIA FIEDORCZUK-CIEŚLAK

67 | ŚWIATOWE ŻYCIE **Rzeka kłamstw**

DARIUSZ ROSIAK

87 | TYMCZASEM **Flaming**

MARCIN WICHA

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957
Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska,
Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa,
Redaktor Naczelny: Piotr Nesterowicz, Zastępczyni Redaktora Naczelnego: Magdalena Kicińska,
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Redaktorka Wydania Cyfrowego: Barbara Sowa,
Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, Projekt makiety: Jacek Utko,
Redakcja i korekta: Marcin Czajkowski, Karolina Iwaszkiewicz, Zofia Sawicka, Dorota Śrutowska,
Barbara Zarzecka, Public Relations: Ewa Salamon, Reklama: reklama@magazynpismo.pl,
Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata, Wydanie Cyfrowe: www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Dlaczego Anna zjadła ojca

tekst JOANNA BATOR

Niekiedy brano nas za siostry. Mnie i moją matkę. Ją to cieszyło oczywiście, ale mnie było raczej obojętne, bo nie przypuszczam, by moją siostrą chciała i umiała być lepiej niż matką. Urodziła mnie w wieku osiemnastu lat i z westchnieniem powtarzała, że nie byłam planowana. Słowo „planowana” wymawiała tak, że kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że coś ważnego mnie ominęło, że czegoś mi brakuje, jakiegoś rytuału potwierdzającego moje istnienie, a ona być może mogła to zmienić, lecz z jakiegoś powodu nie zdołała. Planowane dzieci miały starsze, stateczne matki, podczas gdy moja zawsze sprawiała wrażenie, jakby była nie tu, gdzie się spodziewała znaleźć.

Wchodziłam na przykład rano do kuchni, a ona siedziała przy stole i podnosiła na mnie oczy ze zdumieniem i bolesną biernością. Wydawało mi się, że patrzy na mnie z głębi studni, dając do zrozumienia, że jej sytuacja jest beznadziejna i nic nie mogę zrobić. Zwłaszcza że byłam nieplanowana. Kiedy wracam pamięcią do tamtego mieszkania – dwa pokoje, mała łazienka ukośnie wykrojona z kuchni, stara kamienica, zapach czegoś, co nigdy nie wyszło do końca, czegoś niedokończonego albo rozpadającego się w nic – nie rozumiem, jak te chwile niebytu łączyła ze swoim zawodem wymagającym uważności. Moja matka jest dziennikarką lokalnej gazety. Od dawna razem nie mieszkamy, dzieli nas prawie pięćset kilometrów, nie licząc innych rzeczy, ale dzwonimy do siebie.

I dla niej, i dla mnie jest jakoś oczywiste, że do naszej relacji pasuje ta forma komunikacji i unikamy bardziej nowoczesnych sposobów, nie licząc tego, że niekiedy zaglądam na jej profil na Facebooku. To dziwne i jednocześnie znajome uczucie, bo podobnie jak w realnym świecie nigdy nie mam pewności, czy jest tą, którą widzę, i tam, gdzie jest. Ostatnio zauważyłam, że skróciła włosy, co ją odmłodziło i wysmukliło, stała obca i wypiękniona, oparta o motor, którego też nie znałam. Raz na parę tygodni – trzy, może cztery – któraś z nas dzwoni. Rozmawiamy wówczas o niczym. Po wyłączeniu telefonu na ogół nie pamiętam, czego dotyczyła nasza wymiana zdań, bo nie służą one komunikowaniu treści ani wymianie poglądów, lecz stanowią coś w rodzaju spoiwa, bez którego łącząca nas krew wyparowałaby jak woda. Za pomocą tych byle jakich słów, o pogodzie zapewne, bo jakaś pogoda zawsze jest pod ręką, o tym, że tej zimy śniegu jak na lekarstwo, a tamtej to mnóstwo i ciekawe, jaka wiosna nas czeka, że jakieś przepisy na dania z kalafiorów, wszyscy tego lata eksperymentują z kalafiorami, zwłaszcza te modne blogerki, jak one się dziwnie ubierają, ale nigdy nie wychodzą z ich smakołyki tak jak trzeba, bo nic nie można poradzić na to, że kalafior wygląda jak chory mózg i smakuje jak pierdy, o tym, że po zimie przyjdzie wiosna, po lecie – jesień.

Po ostatniej zimie przyszła wiosna, jak miała w zwyczaju. W moim ogrodzie zaczęły wychodzić przebiśniegi, ale gdy wybrałam nu-

mer mojej matki, odsłuchałam nagraną przez nią wiadomość: „Hej. Proszę nie zostawiać wiadomości, bo nigdy ich nie odsłuchuję, lecz zadzwonić, kiedy znów będę dostępna”, poinformowała mnie. Wcześniej w jej imieniu odpowiadał automatyczny męski głos brzmiały, jakby ktoś cisnął garść gwoździ do wanny. Ta nowa wiadomość nie była zbyt profesjonalna, a moja matka nie używała służbowego telefonu, twierdząc, że w jej zawodzie jest się w pracy przez cały czas, i przyszło mi do głowy, że miała jakąś ukrytą intencję. Zapewne wiązała się ona z mężczyzną, bo moja matka co jakiś czas wdawała się w romans, który nigdy nie przynosił jej szczęścia ani spełnienia. To nie były niezobowiązujące relacje z Tindera, nie, moja matka chciała wszystkiego, pragnęła miłości, która ją rozbije na kawałki i złoży z powrotem w jakąś lepszą całość. W każdą skakała z najwyższej trampoliny, wykonując w powietrzu potrójne salto, ale nigdy nie sprawdzała, czy w basenie jest woda. Gdyby wybieranie mężczyzny można było porównać do wizyty na targu, moja matka pewną ręką i z natchnionym wyrazem twarzy sięgała po to jedno, to jedyne właściwe jej zdaniem jabłko, które dla innych wyglądało w najlepszym razie zwyczajnie. To jedyne i wyjątkowe zawsze z ukrytej strony objawiało zgniętą płamę, pośrodku której, w otworze przypominającym obmierzły odbył, wychylał łeb białawy robal. Ale wtedy oczywiście było już za późno, bo moja matka była po uszy zakochana. Zakochana w byciu zakochaną, odurzona byciem



JOANNA BATOR (ur. 1968), antropolożka kultury, pisarka i felietonistka, podróżniczka. Za zbiór esejów *Japoński wachlarz* (2004) otrzymała nagrodę im. Beaty Pawlak. Za powieść *Ciemno, prawie noc* (2012) zdobyła Nagrodę Literacką „Nike”. Pochodzi z Wałbrzycha, gdzie najchętniej umieszcza akcję swoich powieści. Mieszka w Podkowie Leśnej.

chcianą i pożądaną. Nie wiem, czy i za którym razem przestało ją to dziwić. Bezmierny smutek i powtarzalność tego, że zawsze wszystko kończyło się źle. Wybierała mężczyzn, którzy, jak mówiła, nie dawali jej tego, czego pragnęła, ale być może nadal nie domyśliła się, co to jest takiego. Trochę jak w tym dowcipie: „On nie daje mi tego, czego potrzebuję” – pacjentka mówi terapeutce. „A czego pani potrzebujesz?” „Nie wiem, bo mi tego nie daje”. Rzecz, jakiej się od niej nauczyłam, to nie chceć od mężczyzn zbyt wiele. I w ogóle nie liczyć na to, że drugi człowiek ma to, czego nam brakuje. Wpadło się na tę osobę, która nagle zasłania cały świat, dlatego że ma te cechy, które sprawiają, że będzie się mogło powtórzyć znany scenariusz bólu i utraty, i tak do końca.

Po kilku dniach zadzwoniłam znów i ponownie odpowiedział mi jej głos silący się na oschłość, ale podszyty smutkiem gęstym jak owcze futro, prawie czułam jego oleisty zapach, głos nagrany nie wiadomo kiedy i dla kogo. Byłam już pewna, że pojawił się jakiś nowy mężczyzna, ten, dla którego w końcu podcięła swoje włosy podstarzałej Świtezianki. Przy każdej nowej miłości coś zmieniała, wystrój domu, sposób ubierania się, robiła kolejną dziurkę w uchu, raz nawet przekłuła sobie skrzydełko nosa, a po nieuchronnym pogrzebie tamtej punkowej miłości dziurka zarosła niemal bez śladu. „Gdyby wszystkie rany tak zarastały”, wzdychała z nie do końca ironiczną afekcją. Tylko jej włosy do niedawna pozostawały długie, bo chyba bała się, że jeśli je zetnie, fakt, iż nie jest już młoda, stanie się oczywisty. Dopiero teraz. Wydawało mi się, że za drugim razem moja matka brzmiała jeszcze bardziej ponuro, jej głos rozmywał się, drżał. Miałam ochotę coś powiedzieć, ale nie zostawiłam wiadomości. Próbowałam przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, ale nie szło mi najlepiej. Mam w zwyczaju czyścić telefon z wiadomości, czatów, usuwać zapisane połączenia, podobnie robię ze skrzynką e-mailową, mogłam więc liczyć tylko na własną pamięć. Był to chyba początek lutego. Tak, złożyłam jej życzenia na urodziny, skończyła pięćdziesiąt lat i była tym faktem bardzo przybita. Czułam, że chce po prostu skończyć tę rozmowę, wrócić do tego, co robiła najlepiej, jakiegoś romansego knucia, rozdrapywania ran, wypisywania długich listów, na które nikt nie czekał. Jeśli czegoś jeszcze nauczyłam się od matki w kwestii relacji damsko-męskich, to tego, by nigdy nie pisać do mężczyzny długich listów. Na początku jest na nie za wcześnie, a na ko-

niec – zawsze za późno. Ona miała pięćdziesiąt lat, ja trzydzieści dwa lata i brano nas za siostry, ale nie wiem już, kto i kiedy ostatnio miał w ogóle okazję widzieć nas razem i brać za kogokolwiek. Może więc nieświadomie powtarzam jakąś ułudę, matczyną fantazję, bo przecież niczego nie bała się tak, jak stanu, w którym nikt jej nie pragnie, nikt nie zajmuje jej myśli. Kolejni mężczyźni okupowali jej myśli tak, jak wrogie armie okupują biedne, małe kraje, siejąc gwałt i zniszczenie.

Przyjaciółka mojej matki, Wera, zadzwoniła rano kilka dni po moim ostatnim telefonie. Poranne telefony, zwłaszcza te przed ósmą, dźwięczą złowroźnie. Wera zresztą brzmiała tak zawsze. Matka boska frasobliwa, nieustannie czymś zatroskana. Stanowiły z moją rodzicielką jeden z tych klasycznych kobiecych układów, piękna i brzydka, adorowana i adorująca, co Wera czyniła z taką zarliwością, jakby moja matka była najświętszym sakramentem, a ona fanatyczną katoliczką. Wera była przy niej, od kiedy pamiętam. Moja matka, niska, pulchna, z okrągłą twarzą jak matroszka i długimi do pasa słowiańskimi włosami w nieokreślonym kolorze, które po czterdziestce zaczęły schnąć i puszyć się jak siano. A koło niej Wera, wysoka, masywna jak mężczyzna, o potężnych nogach i ramionach oraz króliczych zębach. Zawsze trochę poza kadrem, lekko rozmazana. Przy niej moja okrągła matka, cierpiąca całe życie z powodu swoich krótkich nóg, piersi niezbyt dużych, ale obwisłych jakby wykarmiła co najmniej trójkę dzieci, i pulchnego brzuszka, wydawała się drobna i delikatna. Dobrze znałam jej ciało. Lubiła chodzić nago, a raczej paradować, kiedy zaś nie było akurat żadnego mężczyzny, przeglądała się we wszystkim i wszystkich innych. Nieważne, córka czy wypolerowana gałka u drzwi. Wiele razy bez powodzenia próbowała, jak mówiła, przestawić się na bardziej sportowy tryb życia, a raz nawet wzięła udział w biegu ulicznym na dziesięć kilometrów, który ukończyła z czasem godzina szesnaście minut. Była dumna z medalu, numeru startowego i koszulki z napisem „Ania, dziennikarka”. Gdy pojawiły się media społecznościowe i moja matka wpłynęła z wdziękiem syreny na te nowe wody narcyzmu i niepewności, Wera pierwsza komentowała jej zdjęcia, pisząc banały w rodzaju „piękna”, „bellissima”, „kocham ten uśmiech” albo „masz szczęśliwe oczy”.

Moim zdaniem oczy te były przede wszystkim głodne i wiele lat zajęło mi zrozumienie, że mężczyźni, których tak nieszczęśliwie wy-

bierała matka, dawali jej dokładnie to, czego pragnęła – być raz po raz pozostawianą na jałowym, pustym brzegu jak Ariadna na Naksos. Z tym że Ariadnę w końcu ktoś stamtąd zabrał, mężczyzna prestiżowy, jak określiłaby go moja matka, choć i tak oczywiście wszystko źle się skończyło. Długie narady z Werą przy kuchennym stole czasem cichły dopiero o świcie, a ich tematem zawsze były sprawy sercowe mojej matki. Omawiane, roztrząsane, rozogniane i rozgniatane tak, że na blacie – oprócz opakowań po ciasteczkach owsianych i czekoladzie z orzechami, tej niemieckiej z okienkiem, przez które można było zobaczyć już w sklepie, czy orzechów jest dużo – pozostawały wypalone plamy o zapachu siarki. Wera w międzyczasie miała jakieś swoje życie, męża, pracę i być może nawet sprawy sercowe, ale w ich przyjaźni liczyły się tylko kolejne dramaty mojej matki. Wera była jej rówieśniczką, chodziła z nią do jednej klasy od podstawówki, ale wyglądała o kilkanaście lat starzej. Wiecznie zatroskana, z zaniedbanymi, pożółkłymi zębami i włosami zniszczonymi, tak jakby na skórze jej czaszki coś sprawało im niewysłowione cierpienie, nadawała się na powiernicę, współtowarzyszkę intryg miłosnych, wrabianą w jakieś telefony, ustawki, wyprawy pod czyjeś domy i zakłady pracy. Myślę, że w przeciwieństwie do robaczywych jabłek, Wera od zawsze kochała moją matkę i na pewno знаła ją o wiele lepiej ode mnie.

– Jak to znikła?

Wera płakała i z trudem ją rozumiałam.

– Pojechała robić materiał o tej kanibalce.

– Kanibalce?

– Do Unisławia Śląskiego. Niedaleko – za bulgotała Wera.

– Wiem, gdzie to jest – przerwałam.

Pamiętałam, że oprócz historii kanibalki, odgrzewanej od czasu do czasu przez lokalną prasę, wioskę charakteryzowały ruiny osiemnastowiecznego kościoła, sterczące przy drodze do Mieroszowa jak zepsuty ząb. Byłam tam z dziesięć lat temu i mimo bliskości miasta osada wydała mi się pogrążona w innych czasach, wilgotna, mglista grudka życia zapomniana wśród gór. Wera zamilkła i usłyszałam, jak wydmuchuje nos.

– Przyjedziesz? – zapytała.

Wróciło do mnie wspomnienie głosu mojej matki, napięcie albo ekscytacja, które zignorowałam, zbyt przyzwyczajona do cyklofrenicznego cyklu jej życia. Wiem, że fascynowała ją historia kanibalki z Unisławia Śląskiego, chociaż zdarzyła się ona dawno, jeszcze w czasach niemieckich, kiedy wioska nazywała się

Langwaltersdorf. Pod koniec XIX wieku młoda kobieta zabiła ojca i przerobiła ciało na wędliny. Policjantów poczęstowała kiełbasą z ojca, jej zdaniem najlepszą, jaką kiedykolwiek jadła. Spuściła krew na kaszankę, większe porcje mięsa zamarynowała w glinianych garach z czosnkiem i ziołami. Miała na imię Anna, jak moja matka. Anna Jungnitsch. Złapała ją. Nie wiem, co dalej. Nikt nie wie. Doszło do procesu, a potem ślad ginie. Czy została skazana? Stracona? Moja matka chciała to zbadać. W ciągu ostatnich kilku miesięcy coś o tym napomknęła w jednej z naszych niewydarzonych rozmów telefonicznych, na pewno. Chciałam, by moja matka się odnalazła, abym mogła zostać tu, gdzie jestem.

– To stara sprawa – powiedziałam.

– Ale w Unisławiu pojawił się ten uzdrowiciel. – Wera siąknęła nosem. – Twoja matka utrzymywała z nim kontakt.

– Uzdrowiciel?

– Bazyl Ochęduszek – wyjaśniła.

Zapamiętałam to nazwisko. Moja matka wspominała o nim w reportażu. Poczulałam dziwne trzepotanie w brzuchu. Wzbierający strach. Jakieś kawałki zaczynały do siebie pasować w mojej głowie, układać się, ale nie widziałam nawet zarysu całości.

– Co on miał do tego? Moja matka chciała z tym Bazylem porozmawiać o Annie Jungnitsch? Po to do niego pojechała?

– Po to też.

Czułam ciężkie milczenie Wery. Tak narzmiwiają ciszą ludzie, którzy bardzo chcą zdradzić jakiś sekret. Milczałam.

– On uzdrowia – zaczęła Wera. Czekałam.

– W nowy sposób uzdrowia. Rewolucyjny.

Słowo „rewolucyjny” zabrzmiało, jakby się go brzydziła. Rewolucja na pewno nie była domeną Wery. Od kiedy ją znałam, nosiła taką samą długą, burą spódnicę i nie zmieniła nawet fryzury, zawsze ta sama krótka kitka, z której wylażały dzikie pędy.

– Moja matka jest chora?

Usłyszałam, jak Wera znów wydmuchuje nos. Przypomniał mi się znajomy, którego podniecały kobiece łzy. Nie ból, lecz łzy, ten szczególnie płyn z oka.

– Nie jest chora w tym sensie. Ale Bazyl leczy duszę. Sięga kilka pokoleń do tyłu. On leczy korzenie.

Nic nie rozumiałam. Jaki związek niemiecka kanibalka Anna Jungnitsch miała z moją matką? Rozmowa o niej miała uleczyć jej duszę? Wera nie odpowiedziała od razu. Płakała, choć nikogo nie podniecały jej łzy, a telefon matki milczał.

– Żeby sięgnąć do korzeni, trzeba zasnąć – wydusiła w końcu Wera. – Trzeba stać się drzewem.

Nie wiem, czy kochałam matkę, nie myślałam o niej w tych kategoriach. Nie tęskniłam za nią. Na pewno nie byliśmy blisko i raczej się nie lubiliśmy. Spotkawszy się jako obce osoby, nie miałybyśmy ochoty nawet pójść razem na kawę, ale kiedy pomyślałam, że zagrożą jej jakieś niebezpieczeństwo, coś mną szarpnęło. Jakby w miejscu, gdzie noszę bliznę po niej, wciąż była pępowina. Wątki jak nitka ektoplazmy, ale żywa. W co ona się wpakowała? Kiedyś pisała o lokalnych sprawach, politycznych przepychankach, skandalach na miarę średniej wielkości miasta, otwarciach lub zamknięciach tego czy owego. Jednak w ostatnich latach zaczęła robić większe reportaże. Pociągały ją teraz tajemnicze historie związane z Dolnym Śląskiem. Ukryte skarby, które zniknęły, kiedy już miano się do nich dokopać, złote pociągi krążące w tym rejonie Polski pod ziemią po torowiskach tworzących sieć gęstszą niż tokijskie metro. W tekstach mojej matki pojawiali się nawiedzeni miłośnicy regionu, jakieś wyfiokowane wróżki, relikty ezoterycznych lat 90. oraz nowe, cwane formy istnienia z popularnymi profilami w mediach społecznościowych i kanałami na YouTube, znachorzy leczący raka kaszą jaglaną i jasnovidze ciemnowidzący zawsze jakieś wody i ogródki działkowe. Niezbyt mnie interesują takie sprawy, ale musiałam przyznać, że w tej nowej roli matka mnie zaskoczyła. Nie wiedziałam, że potrafi tak pisać, że jest w niej tyle pasji, ciekawości i żywego języka.

Jeden z jej reportaży dotyczył nowej fali ezoteryzmu, jaka z siłą tsunami dotarła do miasta mojego dzieciństwa. Miał tytuł *Niezbyt jasno to widzę*. Przedstawiała w nim sylwetki kilku osób, wróżkę o wyglądzie szkolnej bibliotekarki, która czytała przyszłość w pokoju jak cmentarz noworodków pełnym figurek aniołów, znachora z siwą hiszpańską bródką, który uważał, że raka da się pokonać odpowiednim oddechem i powrotem do patriarchalnych wartości rodzinnych, rodzinę żywiącą się wyłącznie bananami, bo w nich zawarta jest moc afrykańskiej pramatki, i właśnie Bazyla Ochęduszkę, ale z tego, co pamiętam, ten ostatni został tylko wspomniany. Dopiero się pojawił na tamtych ziemiach po dwudziestu latach spędzonych na Wschodzie. „Charyzmatyczny”, napisała moja matka. Uzdrowiciel, hipnotyzer i wielbiciel fletu shakuhachi. Materiał cieszył się powodzeniem w necie i komentowało go mnóstwo osób. To było ja-

kieś pół roku temu. Powiedziałam Werze, że przyjadę.

Miała klucze do mieszkania, które kiedyś dzieliłam z matką, ja nie miałam. Stara kamienica przy placu Górnika, drugie piętro. Rzadko tu przyjeżdżałam, ale za każdym razem oczekiwałam jednocześnie, że wszystko będzie po staremu i że coś w końcu się zmieni. Tym razem było inaczej. Po raz pierwszy weszłam do mieszkania matki podczas jej nieobecności. Zapadał wieczór i powietrze w środku było zielonkawe oraz gęste jak woda w zaniedbanym akwarium, przez której mętny nurt przedarliśmy się do salonu i wtedy Wera, bo ona znała tę przestrzeń lepiej niż ja, zapaliła światło i zaproponowała kawę, herbatę. Zobaczyłam, że matka inaczej urządziła ten pokój, kupiła nową sofę oraz fotele, lampa była nowoczesna i ładna, a na podłodze leżał dywan w etniczny wzór. Jednak wszystko wyglądało teraz na opuszczoną scenografię, pozbawioną życia atrapę. Wera zrobiła kawę i przyniosła butelkę koniaku. To był ich ulubiony trunk. Koniak, kawa po turecku, papierosy. Wera wyglądała jak Buka, smutna postać z bajki dla dzieci, którą przyciągało światło cudzego domu, cudzego życia.

– Dlaczego powiedziałaś mi o wszystkim tak późno?

– Twoja matka mówiła, że to jej może zająć trochę czasu. – Wera odwróciła oczy. Patrzyła teraz na portret mojej matki wiszący na ścianie salonu. Namalował go jeden z mężczyzn, którzy pojawili się w nimbie wielkich nadziei i znikli, zostawiając zgłiszczca. Pamiętam, że miał na imię Stefan, przyjeżdżał do niej z Wrocławia. Miała wtedy mniej więcej tyle lat, ile ja mam teraz. Gdy wszystko się rozpadło, schowała obraz na strychu, bo o ile pozbywała się drobnych prezentów, książek, durnostojek, te cenniejsze raczej sprzedawała lub odkładała, by przeczekać jakiś czas, oczyszczając się ze złych wspomnień. Wyjęła portret po kilku latach od rozczarowania Stefanem – który, z tego, co pamiętam, jednak nie rozstał się z żoną, której nie kochał i która go oczywiście nie rozumiała tak wspaniale jak moja matka – i z powrotem powiesiła na ścianie. Obraz był niezły, przedstawiał jej twarz trochę w manierze Modiglianego, co mogłoby zaowocować totalnymi kiczem, ale autor miał dobry warsztat, swobodę i zmysł ironii, dzięki któremu moja matka wyglądała nie jak femme fatale, którą chciała być, lecz raczej jak nieśmiała tchórzofretka na granicy załamania nerwowego. Nie wiem, czy ona to widziała. Wpatrując się w jej twarz gryzonia

à la Modigliani, poczułam, jak pieką mnie oczy. Moja matka miała właściwość zupełnego zapomnienia o dawnych rozczarowaniach, kiedy ich ból i rozpacz zastąpiła nowym zawodem. Tak jakby każda historia była spektaklem, który odgrywała jak najlepiej, z pełnym oddaniem, ale przecież aktorka nie może żyć starą rolą, skoro czekają nowe. Ja wolałam unikać rozczarowań, a do tego całkiem dobrze czułam się sama, czego ona nigdy nie potrafiła zrozumieć. „Czy ty nigdy nie miałaś ochoty tańczyć nago w deszczu?”, pytała na przykład i w jej spojrzeniu oprócz totalnego braku zrozumienia dla takiej prozaicznej i nudnej postawy emocjonalnej była chyba pogarda.

Wera wybuchła po drugim kieliszku koniaku, który piła jak wodę, wlewając w siebie łakome hausty. Do każdego kieliszka wypaliła po dwa papierosy, nie pytając mnie o pozwolenie. To ona była w mieszkaniu mojej matki bardziej u siebie niż ja. Na leżącej między nami paczce marlboro straszyl wizerunek zrakowaciałych płuc.

– Prosiła, żebym nikomu nie mówiła. Wzięła urlop. Mówiła: tydzień, góra dwa. Ale minęły już prawie trzy tygodnie. – W głosie Wery był strach.

– Domyślałam się, że chodzi o mężczyznę. O tego Ochęduszkę?

– I tak, i nie... – Wera zamarła nad pustym kieliszkiem i zawiesiła głos. W gęstym powietrzu matczynej kuchni mógłby tak wisieć do rana, więc dolałam jej koniaku i ożywiła się, jakby przeszedł przez nią prąd. Moja matka poznała Ochęduszkę w specyficznej sytuacji, jak to określiła Wera. To nie w nim była jednak zakochana, ale w dużo młodszym mężczyźnie, aspirującym dziennikarzu sportowym.

– Przyjechał na staż, patrzył w nią jak w obraz, podziwiał jej pióro!

– Jej pióro – powtórzyłam machinalnie za Wera.

– Podziwiał! – potwierdziła. – Chodził za nią jak piesek. Pisał listy, adorował. Pokażę ci coś! – Wera zerwała się i wyszła z kuchni. Słyszałam, jak stary parkiet trzeszczy pod jej ciężarem. Dopiero nagle osamotniona zdałam sobie sprawę, że siedzę na miejscu matki, że powtórzyliśmy scenę, która w tej przestrzeni odgrywana była od lat. Błat stołu pod moimi dłońmi pamiętał jej dotyk, jej pot. Poczułam się przytłoczona, dziwnie ocieślała.

Wera wróciła z ramką w dłoni. Pod nią była zapisana kartka.

– Wiersz?

– Coś w rodzaju. E-mail. Czytaj! Na głos – dodała, kiedy wzięłam ramkę.

– Jestem jak śmietankowe lody polane gorzką czekoladą, a kiedy patrzę na Ciebie, zostaję wystawiony na mocne słońce. Rozpływam się i słodycz bierze górę nad gorzkością. Wypływa, cieknie i zbiera się w ciemne zakamarki, zmieniając skład mojej materii. Ty i Morze, to tak jak Ty i Ty. Twój KK – przełknęłam ślinę.

– On to napisał?

– On. Kamil Kochała! – Wera roześmiała się nienaturalnie. Wnętrze jej ust było mroczne i przepastne jak jeden z tuneli pod miastem. Zauważyłam ciemne amalgamatowe plomby w jej trzonowcach. Rozumiałam, dlaczego matka trzymała na widoku infantylne wyznanie pana Kochały. Mogłam sobie wyobrazić miny, jakie robiła, i poczułam, jak moja własna twarz układa się w podobny grymas. Grafomańskie wyznanie dawało jej nadzieję, że kiedy coś nie wyjdzie, pocieszy ją ta literacka żenada, że będzie tak łatwo mogła z niej żartować i drwić, pomniejszać i to, co się zdarzyło, i swój ból. Jednocześnie to był pisemny dowód bycia pożądaną, kochaną, nawet jeśli jego forma obierała mu powagę. A może wyobrażała sobie moja oszołomiona nową namiętnością matka, że pan Kochała, podziwiający jej pióro, rozkwitnie przy niej literacko?

– I coś nie wyszło z panem Kochałą?

– I to jak! – westchnęła Wera. – Mieszkał z kobietą, mieli dziecko, syna.

Ukryłam twarz w dłoniach, miały nieprzyjemny, słodki zapach, jak roztopione lody z e-maila Kochały. Lody z supermarketu złożone ze wszystkiego oprócz śmietanki, żółtek i cukru, nieprawdziwe. „Mieszkał z kobietą”, jakbym słyszała matkę, która w ten sposób pomniejszała niewygodną prawdę. Nie żona, lecz kobieta. Nie związek, zobowiązanie, więź, ale tylko „mieszkał z nią”.

– I pewnie był z tamtą kobietą wyłącznie dla dziecka?

Wera wyczuła mój sarkazm. Przewróciła oczami i rozłożyła ręce. Tak, moja matka była właśnie taka. Pani Bovary z placu Górniaka. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Jak się to skończyło?

– Kamil Kochała dostał pracę w Szkocji. Przy rybach.

– Odechciało mu się kariery dziennikarskiej i wyjechał? – podpowiedziałam.

– Bez pożegnania – przyznała Wera. – Umówili się przedtem na weekend w Szklarskiej Porębie. Romantyczny weekend. Miał

coś wymyślić i przyjechać. Mówił, że przecież nadal mogą się widywać, jak on już w tej Szkocji będzie. Są tanie linie i w ogóle. – Wera dolała sobie koniaku. – Twoja matka – nawet sprawdzała już loty do Edynburga.

– Ale on nie przyjechał – zgadłam.

– Nawalił w ostatniej chwili, a ona tam czekała. – Wera pokiwała głową. – Wieczorem piła, że zaraz się zobaczą, że już nie może się doczekać, by ją ujrzeć. A rano nie przyjechał, bo coś tam.

Wyobraziłam ją sobie w jakimś pokoju hotelowym, przedstawiającą meble, budującą scenografię, szykującą się do kolejnej roli tragicznej kochanki. Moja matka, Anna, kani-balka. Na pewno miała na tę okazję wymyślony kostium, choćby nowe koronkowe majtki z H&M, od których od razu odcięła metkę świadcząca o ich pospolitym pochodzeniu, i czekała, by kurtyna poszła w górę, wypachniona, wygolona, ale spektakl odwołano z powodu nieobecności odtwórcy roli męskiej. Byłam także pewna, że jeszcze zanim Kamil Kochała odwołał randkę, miała już wymyśloną mowę pogrzebową na swój, Wery i ewentualnych innych użytek, której ten przesłodzony e-mail był częścią.

– Widziałaś się z nią potem?

Wera pokiwała głową i wilgotny kosmyk włosów opadł jej na czoło. Przypominał wodorost wyrzucony przez morze.

– Załatwiła sobie urlop i pojechała zobaczyć się z Bazylem Ochęduszką. Wyglądała, jakby coś w niej pękło.

– W niej zawsze coś pękło – wzruszyłam ramionami, ale czułam, że próbuję się uspokoić, że na siłę trywializuję to, co mówi kobieta o wyglądzie Buki.

– Wyglądacie jak siostry – w głosie Wery brzmiał wyrzut, była pijana i straszna w swojej rozpacz. Buka, która wie, że musi opuścić ten dom i wrócić tam, gdzie nikt na nią nie czeka. Ja czekałam na znak. Mogłam tu zostać na miejscu mojej matki albo, jak planowałam przed przyjazdem, ruszyć do wsi ukrytej w górach, by ją odnaleźć.

Nad ranem, gdy Buka w końcu się wytoczyła, otworzyłam okno kuchni wychodzące na ciemne podwórze. Nie było widać jego dna, bo noc zalegała tam zgęstniała jak kupa szmat. Wszyscy spali i we śnie sięgali do swoich korzeni, powietrze pachniało jak mokra owcza sierść. Zanurzyłam w nim twarz, poczułam szorstkie włoski, weszły mi do ust. Wydawało mi się, że z głębi ciemności dobiega dźwięk, jaki wydają rozgniatane w palcach pęcherzyki folii bąbelkowej.

POEZJA

Słony brokat

JOANNA LECH

—

Radiohead - Man Of War

Pachniesz jak sen o spadaniu i letnia gorączka.
 Ostatni blask przed zachodem, poświata na skórze
 i ten smutny sposób, w jaki się uśmiechasz samymi zębami,
 kącikiem oka. Ciągłe cię widzę, jak zwieszasz głowę
 pod tą samą ścianą, masz rozciętą wargę
 i pół świata chce przeczesać ci włosy.

Obite śliwki kapały na chodnik.

I jeśli kiedyś wrócisz do domu, upiekę ci ciasto z ich
 wszystkich spojrzeń. Och, gdybyś mógł mnie teraz zobaczyć,
 jak idę ulicą w wielkim słońcu i niosę bez w zabójczej sukience,
 bez butów i bez wahania, wystrojona na wojnę.

*Chyba po prostu nie mogłabym znieść jej zapachu na rękach,
 Którymi potem rozpinalbyś mi stanik, zaciskał na włosach.*

Wciąż mam nadzieję, że jakoś mnie jeszcze nazywasz,
 na końcu świata, nad ranem, gdy z rozbitą głową przeklinasz
 mnie czasem w nocnej taksówce, patrzysz na światła
 odbite na wodzie, ładujesz broń. Oblizujesz palce.

Zadie Smith: na każdy temat

tekst KATARZYNA KAZIMIEROWSKA

—
MOŻESZ MIEĆ codziennie nowy romans, twierdzi literackie bożyszczce, jeśli tylko pójdziesz do biblioteki.

Nieopatrznie przekazana kilku znajomym wiadomość, że umawiam się na wywiad z Zadie Smith, zmienia moje życie. Nagle nawet ci niespecjalnie zainteresowani światem literatury zaczynają wypytywać o pisarkę, którą kojarzą głównie z okładek kolorowych magazynów. Na kilka dni przed wywiadem czuję się niczym bokser wchodzący na ring, by walczyć z legendą – niemal brakuje mi poklepywania po plecach i masażu karku dla rozgrzewki. Znajomi dzwonią z pytaniami: „I jak?”, „Już po?”, „Jaka ona jest?”. Koledzy po fachu w wieczór przed rozmową kilka razy powtarzają: „Powodzenia!”. Napięcie rośnie. Nie ma wątpliwości: Zadie Smith budzi emocje, to jedna z niewielu pisarek-celebrytek na świecie. Każda jej książka czy opowiadanie to wydarzenie. Recenzenci – od brytyjskiego „Guardiana” po amerykański „New York Review of Books” – zachwycają się erudycją, czytaniem i błyskotliwością autorki. Siła rażenia i popularności „jednej z najbardziej ukochanych autorek swojego pokolenia”, jak głosi jej strona internetowa, oraz „supergwiazdy brytyjskiej literatury”, jak podaje magazyn „Elle” – rośnie z kolejną publikacją.

—
PADA CIEPŁY SIERPNIOWY DESZCZ, kiedy Zadie Smith wchodzi szybkim krokiem do sopockiej kawiarni. Rozgląda się, znika na chwilę w toalecie. W magazynach kobiecych w tym miejscu zwykle pojawia się informa-

cja, w co nasza bohaterka jest ubrana i jak wspaniale wygląda bez makijażu oraz że jedynie wargi musnęła czerwoną szminką. Zamiast tego zanotuję, że zanim włączę dyktafon, prosi o minutę, bo chce wysłać SMS do rodziny. Stuka intensywnie na starej czerwonej Nokii z półumieszkiem pod nosem – punkt dla niej, rzeczywiście, tak jak mówi w wywiadach, nie ma smartfona. Dźwięk klawiszy brzmi archaicznie, a przecież wszyscy mieliśmy takie telefony zaledwie dekadę temu. Ale nie będziemy rozmawiały o smartfonach, wszechobecnych mediach społecznościowych, braku prawdziwych relacji i sztuki konwersacji, która zdaje się już nie istnieć, bo zniszczyły ją lajki i memy – choć o tym Zadie Smith, czterdziestotrzylatka urodzona w Willesden w Londynie, powiedziała i napisała już chyba wszystko.

Smith chętnie potwierdza w wywiadach, że z jednej strony nie ma czasu na media społecznościowe, a z drugiej – zwyczajnie ją to przerasta. W październiku tego roku w rozmowie dla magazynu „Wysokie Obcaszki Extra” przyznała się Michałowi Nogasiowi, że czytając setki komentarzy pod swoim przypadkowo zrobionym zdjęciem, wrzuconym przez znajomego na Instagram, omal nie dostała załamania nerwowego. Media społecznościowe podobno wyzwalają w niej agresję, co mogłoby dla Zadie skończyć się źle. No, ale o ubolewaniu nad upadkiem obyczajów w dobie Facebooka nie rozmawiamy, choć to nie jest jedyny temat, który w ustach Smith wybrzmiewa pesymistycznie.

Wynagradzając czytelnikowi brak informacji o tym, czy paznokcie Smith były pomalowane, wspomnę o jej głosie. Oprócz filigranowej sylwetki i kanonicznej twarzy, Smith ma jeszcze głos, którego nie da się pomylić z żadnym innym. Nie pasuje do jej delikatnej urody – głęboki, melodyjny, o niskich rejestrach, chwilami

ZADIE SMITH

(ur. 1975), brytyjska pisarka i eseistka. Zadebiutowała w 2000 roku powieścią *Białe zęby*, która zdobyła Whitbread First Novel Award dla najlepszego debiutu. Trzecia powieść, pt. *O pięknie*, została nominowana do Man Booker Prize. W 2018 roku wydała zbiór esejów *Widzi mi się*. Mieszka w Nowym Jorku, gdzie uczy kreatywnego pisania na New York University.